



## Bogusław Kamola

część VII z VII

Sygnatura notacji: N0927

Data urodzenia: 25.08.1930 r.

Data nagrania: 20.03 i 15.04.2015 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Warszawa, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Rafał Pękała, Piotr Wiejak

Czas nagrania: Część I: 97 min, część II: 21 min, część III: 58 min, część IV: 53 min,

Format nagrania: video część V: 42 min, część VI: 36 min, część VII: 38 min

Język nagrania: polski



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Rafał Pękała:** Czy przed złożeniem broni dowódcy spotkali się z wami i powiedzieli wam o okolicznościach kapitulacji, i o decyzji w ogóle kapitulacji?

**Bogusław Kamola:** Nie. Ja tylko... Dostałem informację, że jest zawieszenie broni, żeby zejść ze stanowiska, bo ktoś do mnie przyszedł, jakiś tam, nie wiem, kolega czy ktoś dotarł do mnie. To nas kilku stało w tej piwnicy. W związku z tym z tym karabinem wyszedłem z tej piwnicy, ten karabin nawet mi ktoś wziął i mówi: „Idź, tam jest, na tych działkach jest nasz pluton, dołącz do chłopaków”. Dotarłem tam do swoich. Tam już kilka osób było. Ta więź się, tych żołnierzy, plutonu, była nieprawdopodobna. Myśmy nawzajem się tam szukali przez cały czas. Dotarłem do nich. Oczekujemy na niewiadomą jakąś. Siedzimy na tej trawie czy nie wiadomo na czym i wtedy pogłoska idzie. Kapitulacja, kapitulacja, kapitulacja, mamy czekać na wyjście stąd do znicza i tak żeśmy czekali. Dowódcy z nami, aż przyszedł, do dziś pamiętam, oficer niemiecki w asyście jakichś polskich oficerów. Wszedł w tę uliczkę Bohomolca, nie, człowiek mieszka na Żoliborzu i nie pamięta ulic. Wszedł w tę uliczkę, w której jest brama. Inaczej, to jest bok szarego domu. Myśmy... Ja widziałem ich dokładnie, tam, jak gdyby taką odebrali nie defiladę, ale zobaczyli, że tam są zgromadzeni żołnierze i wtedy otworzono furtkę, i tam po dwóch, po trzech, takim sznurkiem żeśmy wychodzili przez Mickiewicza do następnego bloku i tam już nas od razu w tej bramie [łapali, 00:02:51], rewidowali. Co lepszą broń zabierali, bo to też były, też oni tam nie wiem co robili. W każdym razie ten mój chwycił jakiś tam, Niemiec czy tam rzucił ją na ten, to była ładna broń. I później już, tak jak powiedziałem, bez broni na ten plac.

**Rafał Pękała:** Po ilu dniach dotarliście do Pruszkowa?

**Bogusław Kamola:** Ta makabryczna noc, którą myśmy spędzili w tym pochodzie, takim makabrycznym, pochodzie cieni, takim przygnębiającym, nikt do nikogo nie odzywał się. Ta armia, ta armia, te oddziały szły właściwie z głową spuszczoną, to zmęczone, wyczerpane. Nikt tam nie miał ochoty do żartów ani rozmowy. Dotarliśmy, jak powiedziałem, nad ranem chyba na Fort Bema. Tam zrobił jeszcze rewizję czy ktoś nie miał broni, bo to już druga rewizja. Ja nie miałem tej broni. Wprowadzili nas do baraku, po jakichś dwóch godzinach, tam się pokładli potokiem na tym betonie. Rano pobudka, wychodzi z baraków na taki plac przed barakami. Ja patrzę, a tam karabiny maszynowe rozstawione na tym placu. Leżą Niemcy przy tych karabinach maszynowych. Myślę sobie: „Boże, to już jest rozprawa ostateczna. Wybiją tam nas wszystkich”. Ale tak sobie myślałem, że jeżeli będą strzelać do tłumu tak wielkiego, to może przeżyję. Ale nie strzelali. Zapakowali nas na odkryte samochody, tak na stojaka, pamiętam, te boczne klapy samochodów tam sięgały nam powyżej kolan czy tam do biodra. Niżej nawet, bo jeszcze jak w tej jeździe tam taka, a napakowali nas pełno na stojąco, to proszę sobie wyobrazić, jak on ruszył tym samochodem to jak gruszki tam, ja byłem w środku, więc tam nie wypadłem, ale chyba tam gdzieś wypadali z tego samochodu. Nie było się czego trzymać. I tak, i my na stojąco tak upchani, jak figurki żołnierzy, dojechaliśmy do jakichś ruin czy do hal, przez Pruszków, tylko ludzie tam krzyczeli „Pruszków”. Rzucali z domów nam jakiś chleb, jakieś tam zaopatrzenie, jakieś owoce, nie wiem co. Przejeżdżaliśmy przez miasto przecież czy obok miasta, jakieś domy, to ludzie mieli odwagę rzucać nam, więc rzucali nam tam jakąś żywność. Ja nic nie złapałem. Później nas wyładowali z tych samochodów do jakichś hal. Takie hale ogromne, też porujnowane. Więc znowu w jakiejś tam grupie siedzimy razem, bezhołowie, nikt nic nie wie, trzymają nas. Ludzie chodzą, szukają się. Taki ludzki targ.

**Rafał Pękała:** Czy coś pana uderzyło w zachowaniu innych Polaków, innych ludzi, którzy byli w tych halach?

**Bogusław Kamola:** Więc tak, więc oczywiście tworzyły się, jak zawsze, grupy. To jedni spali, jedni się leczyli, tam jacyś ranni. Takie grupy przyjaciół, pomocy, rodziny. Ktoś tam się jednoczył w jakiś sposób. My też, prawda, jakaś tam drużyna w plutonie, trzymać się razem. Trzymać się razem. Więc najgorszy był problem, byliśmy głodni bardzo. Ja nie wiem, ile dni żeśmy nie jedli. Nawet sobie nie mogę przypomnieć teraz, kiedy myśmy się myli, kiedy myśmy jedli, co myśmy jedli, jak myśmy żyli. To w ogóle poza moją świadomością jest. Ale żyliśmy. I w tym obozie, tym obozie pruszkowskim też. Przyszła wiadomość, że kuchnia jest Czerwonego Krzyża i są posiłki. Nalewają posiłki. Można wziąć posiłki. Tylko, że nikt, mało osób miało łyżki i pojemniki, żeby tę zupę wziąć, stanąć w kolejce. Więc wtedy działały takie jakieś, nie wiem, do buta, do kalosza, w coś, nie w rękę przecież. I wtedy ktoś z kolegów, nie wiem czy to ja, czy nie, wpadł na pomysł, żeby rozbierać piece kaflowe. Tam był piec kaflowy, koło nas stał. Taki, wiadomo, już był rozbity chyba, ten piec kaflowy. Nieczynny był. Myśmy te kafle pobrali. Ja wziąłem dwa kafle, bo były wgłębiane i można było jakiejś tam cieczy do tego kafla wlać. Jak to jeść, to się zobaczy, co to jest, albo się wypije, albo tam ręką się coś wyciągnie, jak coś gęstego. I rzeczywiście pamiętam, że ktoś miał żyrandol, tam jakiś wisiał żyrandol, taką kulę miał i w to mu zupę nalali. Ja w każdym razie z tymi dwoma kaflami stanąłem przed tym Czerwonym Krzyżem. Tamten, to Polak czy ktoś, na pewno Polacy, bo to był Caritas czy tam Czerwony Krzyż, tej zupy tam nam nalali do tych kafla. Ja te kafle niosę. I Niemcy... I idę z tym kaflami gdzieś tam, żeby coś. I tak piję, chłopcę to, tam każdy z nas to samo, jakoś tam myśmy tę zupę zjedli i to było całe wyżywienie chyba na trzy dni w tym Pruszkowie. Później był podział znowu na jakieś tam grupy i kazali nam iść pod bocznicę kolejową, przy której stały towarowe

wagony. Niektóre zakryte, niektóre otwarte. Stała kolejka tej całej braci i wpuszczano tam po 70 osób, jak pamiętam, po 70 osób do każdego wagonu. Ja trafiłem na wagon zasłonięty, zamykany całkowicie. Przed wejściem do wagonu dostawaliśmy po siedem paczek sucharów Knäckebröt. Takie czarne suchary. To jak dzisiejsze takie Wasa czy coś w tym rodzaju. Bardzo smaczne, wtedy były bardzo smaczne. Chyba są. Czarne suchary. Siedem paczek. A w każdej paczce było chyba tam trzy takie płatki, cztery. Tak, takie paczki, siedem paczki Knäckebrötu. Skarb absolutny. I tam na stojaka nas wepchnęli do tych wagonów. Jacyś ludzie koło mnie, nie wiem, już tam wszyscy zostaliśmy porozbijani. I rozpoczęła się makabryczna podróż w nieznane. Ja stałem gdzieś tam pośrodku, więc nie wiedziałem, ktoś tam stał przy oknie, takim okienku małym, takie okienka małe, jakieś dziury powiercili przez drzwi, jakieś tam. Mówili, jakieś stacje, te wagony jechały, jechały. Zatrzymywały się. Taki nie Sybir, ale taka wywózka w nieznane. Nikt nie próbował uciekać. Apatia totalna. Pamiętam, raz stanął pociąg w polu. Bo, nie wiem, siusiu i te inne rzeczy, to w wagonie tam, w jakimś rogu się oddawało. Ja jakoś nie, bo byłem głodny, tak że nie miałem czym. Chyba tak samo i pozostali. Te Knäckebröty, jak żeśmy zjedli, ale też oszczędnie, żeby to zatrzymać na całą podróż. Na jakiejś stacji niemieckiej, ale już w Niemczech albo w Generalnej Guberni. Nie wiem gdzie. Nas wypuszczono na stację kolejową, na której stały kotły też Czerwonego Krzyża. I tam nam też jakiejś zupy dali w pojemnikach jakichś i tę zupę... Jechaliśmy chyba cztery dni. Wylądowaliśmy w Altengrabow koło Magdeburga. To był Stalag XI A i tam do tego stalagu skierowano wszystkie oddziały powstańcze Żoliborza. Wyładunek z wagonów, znowu plac, znowu stoły niemieckie, rewizja, rejestracja, numerek na szyi, który mam do dzisiaj. Dostałem numer jeniecki.

**Rafał Pękała:** W formie takiego nieśmiertelnika.

**Bogusław Kamola:** Tak, który mam. Dostałem numer jeniecki, całe życie go pamiętam i będę pamiętał do końca życia. To jest 46 765.

**Rafał Pękała:** Jakie wrażenie zrobił na panu obóz? To już obóz był stary.

**Bogusław Kamola:** Tak, tak. Był stary, zasiedziały, tam były podobozy Francuzów, jakichś tam wojsk sprzymierzonych. I było, i działało rosyjskie w katastrofalnym stanie, bo oni nie należeli do Czerwonego Krzyża. Jeńcy z 1939 roku, a o tych mówię w tym obozie, byli już nieźle zorganizowani, zaopatrzeni. Oni tam mieli własne teatry, byli umundurowani, mieli indywidualne paczki, imienne paczki żywnościowe comiesięczne. Tam były i papierosy, i konserwy. Słowem, można było, w porównaniu z nami, bardzo godnie żyć. Śmieję się oczywiście, ale dla nas to były nieprawdopodobne zdobycze socjalne. Ta żywność. Ci jeńcy, jak nas zobaczyli, że tam przyjechała ta masa biednych ludzi, zbitych i skopanych, to wieczorem odbyła się salwa zrzutów. Wszyscy oni rzucali przez druty na nasz rewir wszystko. Poczqwszy od tam mundurów, butów, żywności i wszystkiego. Więc to już było takie zaopatrzenie z nieba, jak mówiliśmy. Niemcy w związku z tym nie bardzo dbali o to, żeby nam jakąś tam zupę ugotować i proszę sobie wyobrazić, że spaliśmy na ziemi gołej. Nic tam nie było. Nic. Ani latem, tak. A tu już mroźnie zaczynało być, październik. Początek października. Pamiętam, że było tam mroźno bardzo, my tak na goło bez niczego. Dowództwo wyjednało w dowództwie niemieckim, żeby najmłodszy Powstańcy Warszawscy, którzy są w stalagu, byli przeniesieni do lepszych warunków bytowania. To znaczy do lazaretu tego obozu. Do lazaretu. Tam leżeli ranni z Powstania i były tam niby lepsze warunki. Dla nas byłyby. Zgłosiło się 54 chłopaków, żołnierzy. Mnie wypchnęli koledzy właśnie.

Chciałem tam od nich odłączyć. Wypchnęli mnie i jeszcze kilku kolegów z plutonu, trzech czy czterech. Reszta plutonu została. Nas trójka, właśnie z Andrzejem Lendzionem, tym moim przyjacielem, on i ja, i ktoś jeszcze, już nie pamiętam, wylądowaliśmy w tym lazarecie tego obozu. Warunki mieliśmy rzeczywiście już lepsze. Dostaliśmy prycze gołe, bez siana czy tam bez jakiejś tam słomy. I w tej sztubie było i ciepłej, bo tam koza stała, to tam się paliło raz dziennie. Ale właśnie Opatrzność sprawiła, że w tym obozie, tam przecież umierali ludzie, był ksiądz włoski. Włoski kapelan wojskowy, który rozpoczął tam opiekę nad tymi konającymi ludźmi i potrzebował ministranta. A ponieważ ja byłem ministrantem w czasie okupacji, służyłem na mszy świętej u słynnego księdza Tuszyńskiego w kościółku Najświętszej Marii Panny na Gdańskiej, i ksiądz Tuszyński dobrze mnie znał, i całą moją rodzinę, więc zgłosiłem się do tego księdza włoskiego, po włosku nie umiałem, trochę tam po angielsku, ale on nie bardzo rozumiał, więc na migi i trochę tam msza święta odbywała się po łacinie, to ja to znałem oczywiście, więc jakoś pracowałem, jakoś służyłem dobrze, ale wielką rzeczą było to, że myśmy mieli prawo poruszania się po innych podobozach. Jak szliśmy do Belgów czy Francuzów, czy Anglików, to mnie napychali pełne kieszenie jedzenia. Ja pod komżą to, czy jak to tam, to przemycałem. Nas Niemcy już nie rewidowali, wychodziliśmy z tych obozów z tym księdzem i dostarczałem naszym kolegom z naszej sztuby takie zaopatrzenie, gdzie byłem traktowany niemalże jak zbawca, bo to były i papierosy, i konserwy. Nie doczekaliśmy się, my, paczek imiennych, dlatego że już mieliśmy je dostać w grudniu, z Czerwonego Krzyża z Genewy, ale Niemcy nas przenieśli z tego obozu na komando. Zresztą nieprawnie, bo jeńców wojennych, a taki mieliśmy statut, się nie zatrudnia, nie pracuje się nimi, ale oni na to nie zważali. Wywieźli nas na komando do jakiejś fabryki do Magdeburga i w związku z tym niestety paczki do nas nie dotarły. Jediną organizacją międzynarodową, przed którą chylę czoła, to jest Czerwony Krzyż. To rzeczywiście oni wybawiali ludzi z głodu, od śmierci, od wszystkiego. W Magdeburgu pracowaliśmy w fabryce jakiejś części, nie wiem jakich. Taki był podobóz, zupełnie nieznanymi ludźmi, inny świat, cudzoziemcy też. Zbieranina totalna. I tam puchliśmy z głodu. Puchliśmy z głodu. To ja o tym nawet nie wiedziałem, że, nie wiem, czy panowie wiedzą, że można puchnąć z głodu. Myśmy rano się nie poznawali zupełnie. Później to jakoś tam nam odjeżdżało. Głód był, praca i tam mnie straszliwie stłukł Niemiec. A stłukł mnie za to, że przy pierwszej selekcji fachowców zapytał się, jak nas ta grupa tam dotarła, pyta się, kto jest tam ślusarzem, malarzem, coś w tym rodzaju, i ja, ponieważ tam się trochę znałem na mechanice, z uwagi na tatę mechanika, powiedziałem, że ja jestem ślusarzem, bo szukali ślusarzy. Wiedziałem, jak wygląda młotek, jak wygląda pilnik, potrafiłem tym robić, ale facet mnie postawił przed tokarką, na której naprawdę nie potrafiłem pracować. I mówi, toś mnie dał do obróbki, żebym ją to obrabiał, ja w ogóle ani be, ani ce. Tokarka z kołem takim transmisyjnym. Zobaczył oczywiście, że ja jestem zielony, taki majster niemiecki, doskoczył, strasznie mnie skopał, że ja go okłamałem, że to. Tak że ledwo się ruszałem, ale z tego wyszedłem. Później jak szła ofensywa radziecka i już zajmowała tereny polskie, nas ewakuowano z Magdeburga na zachód. I tak nas ciągnęli, ciągnęli na zachód, aż znalazłem się w Westfalii. Przed ucieczką przed frontem wschodnim znaleźliśmy się nad Renem i tam ruszyła ofensywa z kolei aliancka, amerykańska, angielska i polska oczywiście, bo wszyscy z kolei spieszyli się z zachodu do Berlina. Więc była taka z dwóch stron oczywiście inwazja, Niemcy zupełnie oszaleli, nie wiedzieli, co z nami zrobić, nas wycofywali z kolei, jak się front przybliżał, jakaś tam jednostka, to nas wycofywali, naprawialiśmy tory bombardowane, jakieś tam, głównie tory na stacjach kolejowych w tych miasteczkach mordowanych, tam już trochę było lepiej, bo kradliśmy z tych rozbitych wagonów, jakieś tam się zawsze zdarzyły, to sztuczny miód, a to jakieś tam zaopatrzenia, tak że tam to już było trochę lepiej, aczkolwiek groźniej, bo ciągle były naloty alianckie. Przeżyłem taki jeden nalot dywanowy, to nie mogłem dolecieć do schronu, takiego specjalnego schronu, nie mogłem przelecieć sto metrów, bo ciągle leżałem, bo co podniosłem głowę, to bomba

leciała, więc przeleżałem tam w jakimś polu, na szczęście w polu.

**Rafał Pękała:** A w Westfalii to gdzie byliście przetrzymywani? To był jakiś obóz tam?

**Bogusław Kamola:** Takie podobozy tworzyli na takich jakichś szkołach i barakach, tak, ale to już ta opieka nad nami, którą sprawował jakiś tam folksztum niemiecki, jakieś tam, dziadkowie, jakieś młodziaki.

**Rafał Pękała:** Czyli w zasadzie cały czas byliście w ruchu, tak?

**Bogusław Kamola:** Tak.

**Rafał Pękała:** Cały czas przemieszczaliście się w miejsca... Byliście w jakimś miejscu dłużej niż dzień?

**Bogusław Kamola:** Tak, tak, oczywiście, bo oni, już nie pamiętam, w jakim to mieście, czy to było właśnie w Bonn czy w jakimś... Już nie pamiętam, w jakim mieście, to po jakimś dywanowym nalocie, to tam siedzieliśmy chyba kilka tygodni. Tośmy tam, znaczy chcieli Niemcy udrożnić linie kolejowe. Myśmy na tych liniach kolejowych tam pracowali. To wszystko było zbombardowane, oni ciągle bombardowali. W związku z tym to już oni byli sparaliżowani. Wracam do tych ucieczek, do tych takich ciągłych marszów, które były totalnie zabójcze dla nas. Byłem w grupie, takiej powstańczej, żołnierzy AL-u, z Marymontu. Oni dostali opaski akowskie i przetrwali. Bardzo zaradni chłopcy. Mieli, że tak powiem, starsi ode mnie, mieli takie doświadczenia życiowe, bo to pochodzili na ogół z bardzo biednych rodzin, więc musieli jakoś tam na to życie zarabiać, kombinować, pracować. I ja w tej grupie się znalazłem, tych chłopaków z Podleśnej ulicy, pamiętam. Jeden mój imiennik, drugi się nazywał Wandzia, miał pseudonim, drugi jakiś tam, nie wiem kto. I oni, doświadczeni ludzie życiowo, znaleźli ulotkę. Ulotkę, bo Amerykanie zrzucali ulotki do tych miejscowości przyfrontowych, jaka sytuacja jest na froncie. I doszli do wniosku, że ta nasza grupa, ta cała kolumna wycofuje się z takiego małego kotła, gdzie te wojska amerykańskie okrążają jakieś miasteczka, bo ten front ciągle szedł do przodu i zdecydowali uciec z tej kolumny, przetrwać, przeczekać w jakimś tam lesie, aż przejdzie front i przyjdą Amerykanie. To było na linii amerykańskiej, byliśmy, oddziałów, jak się później okazało. I w czasie marszu podeszli do mnie, i mówią: „Słuchaj, czy ty uciekasz z nami w nocy z kolumny?”. Taka ucieczka z kolumny, to jakby nas złapali, to na pewno czekałoby nas rozstrzelanie, by nas tam utłukli od razu. Ale pomyślałem sobie, że większa szansa jest przeżycia, jak ucieknę, niż jak nie ucieknę, a szczególnie z nimi, z zaradnymi chłopakami. Zapytałem się mojego przyjaciela z plutonu. Nie, on nie był z mojego plutonu, ale był z mojego, on bronił straży ogniowej, on był z innego zgrupowania. Ja go spotkałem... On był z moim kolegą z kompletów i później go właśnie, jak już się odnaleźliśmy w tej kolumnie i pytam się: „Tadziu...”. Tadziu, żyje, wczoraj go widziałem, czy przedwczoraj na oplatku. Mówię: „Tadziu, czy uciekasz ze mną?”. A on mówi: „Nie, słuchaj, nie ucieknę z tobą”. Pytam się: „Dlaczego?” „Słuchaj, bo...” Wiedział o tym, że wymordowali jego, na Marymoncie, właśnie na tej dzielnicy, jego matkę i siostrę. Ojca chyba też i on nie miał nikogo. I mówi: „Słuchaj, jak mnie złapią, to ja też tego nie przeżyję, a chciałem przeżyć i w związku z tym - mówi - nie uciekam, zostaję”. I został. Ja uciekłem. Przez trzy noce... Aha, ukradliśmy jeszcze z takiego wozu chleb, który za nami jechał na takich wozach, to Ukraińcy jacyś tam to wieźli, chleb ukradliśmy. Przez trzy dni byliśmy w lesie z przygodami i w pewnym momencie usłyszeliśmy, że jakiś szum jest ogromny na drodze, jakoś niedaleko,

a siedzieliśmy w lesie. Okazało się, że to są wojska amerykańskie, jadą. Ale przed tym mieliśmy też makabryczny przypadek, bo w czasie tego ukrywania się w lesie, jakoś przemieszczaliśmy się z jednego końca na drugi, tam jakieś mleko kradliśmy jakimś tam gospodarzom przy lesie w domach i proszę sobie wyobrazić, myśmy się natknęli na oddział niemiecki. Oddział niemiecki w czarnych mundurach, to prawdopodobnie jacyś grenadierzy pancerni, którzy mieli rzeczywiście panzerfausta. Szli takim duktem leśnym, myśmy nie mieli szans ucieczki. A nas była grupa chyba, no, czterech czy pięć osób. Ci trzej, my we dwójkę i jakiś jeszcze Rosjanin, jakiś Rosjanin się zdarzył. I nas dostrzegli. Dowódca dostrzegł nas, tej kolumny. Kolumna szła, pan zobaczy, nas kiwnął, żebyśmy podeszli, wyjął pistolet, to myślę, że totalna jest, będzie z nami rozprawa i pyta się, co my tu robimy. Więc tam łamanym językiem mówimy, że szukamy naszych, bo uciekliśmy, było bombardowanie, kolumna się rozbiła i szukamy dojścia do naszej kolumny. A on mówi: „To idźcie tam w tę stronę, oczywiście w tył, to znajdziecie, bo tam jakieś kolumny”. Nie zastrzelił nas. Opatrzność, o której mówiliśmy. A powinien nas... Znaczący powinien, zwykły zastrzelić. Więc później dostaliśmy się właśnie już na tę drogę, jechali Amerykanie, zrzucali tę żywność, rzucali tę puszkę ananasa, o której mówiłem. Dotarliśmy do takiego obozu dla uchodźców. Tam już nas organizowali, tworzyły się grupy narodowościowe. Koledzy ojca z dywizji pancerniej odnaleźli mnie w tym obozie.

**Rafał Pękała:** Pamięta pan, co to był za obóz?

**Bogusław Kamola:** To był taki obóz uchodźców, tworzony ad hoc, bo to Amerykanie tworzyli. Jacyś ludzie tam...

**Rafał Pękała:** Pamięta pan miejscowość czy nie?

**Bogusław Kamola:** Oj, nie pamiętam tej miejscowości niestety.

**Rafał Pękała:** Dipy, czyli te...

**Bogusław Kamola:** Proszę?

**Rafał Pękała:** To tak zwane dipy były.

**Bogusław Kamola:** Dip. To jeszcze nie były dipy. To były takie pierwsze...

**Rafał Pękała:** Przejściowe.

**Bogusław Kamola:** Takie przejściowe, tak, tak. Tam cały świat siedział w tych obozach. W jakichś koszarach, pamiętam, byliśmy. Tam Rosjanie... Tak. Więc tam cały świat był. Mnie z tego obozu wyrwano. Znaczący w tym sensie pozytywnym, że dojechałem do dywizji pancerniej generała Maczka, tworzyła się szkoła, polska szkoła pod egidą dywizji w Reinhausen. To pamiętam dokładnie, w Reinhausen. Tam były koszary niemieckie, w tych koszarach niemieckich nas zakwaterowano, umundurowano, wymyto, zbadano, utworzono kompanię szkolną i uczyliśmy się w takim pięknym niemieckim gimnazjum, byli profesorowie polscy, oficerowie polscy i tam w tym gimnazjum, w tej kompanii szkolnej, oczywiście tam musztra, jak to w wojsku, i nauka, i tam skończyłem pierwszą klasę gimnazjalną, i zacząłem

drugą. Nic nie wiedziałem o swojej rodzinie. A nie, zaraz, jak to było, przecież ojciec mnie odnalazł. Tak, bo przed tym jeszcze był taki zamiar, jak siedzieliśmy w tym obozie, ja nieodnaleziony, to Amerykanie tworzyli oddziały na okupację Japonii. I ja postanowiłem, że jak nie mam ani ojca, ani matki, oni wszystkich tam wymordowali w tej Warszawie, to ja do Polski nie wrócę. Pojadę do Japonii. I nawet się zapisałem do takich oddziałów mobilizacyjnych, ale wtedy mnie odnalazł właśnie ten oficer. Wieźli mnie do tej szkoły i też przez przypadek, Opatrzność tak zrzędziła, że zamiast do Japonii, trafiłem do Warszawy, w której jestem.

**Rafał Pękała:** W ogóle chciał pan wrócić?

**Bogusław Kamola:** Tak, jak odnalazła się rodzina, jeszcze brat mi napisał, że: „Słuchaj, tutaj jestem”. Tam szybciej jakichś tu latał, tata już pracował, mama miała jakieś tam, mieszkanie mieliśmy, już brat chodził do gimnazjum też to nie było możliwości, żebym nie wrócił. Aż tak nie byłem jeszcze zdecydowany, żeby nie wrócić do rodziny i do Polski, do swoich przyjaciół i kolegów. I tak wróciłem do Polski.

**Rafał Pękała:** Były jakieś wieści o tym, jaka to jest Polska, że to będzie już trochę inny kraj, czy docierały?

**Bogusław Kamola:** Dochodziły, oczywiście. Tak, tak, tak. Ja już nie patrzyłem się na to. Tak. Jak gdyby politycznie, prawda, że jaki to ustrój, wjechałem po prostu do swojego miasta i do rodziny. Gdyby nawet byli oni na Sybirze, to bym też się z nimi połączył, bo chciałem być z nimi.

**Rafał Pękała:** W jaki sposób pan wrócił?

**Bogusław Kamola:** Takim transportem organizowanym tam na zachodzie. Takie transporty były organizowane, już nie pamiętam, czy to przez rząd lubelski. W każdym razie odchodziły takie i przez Wrocław chyba, przez Wrocław dojechałem do Polski. Nawet mam taką legitymację na przejście graniczne z takim papierem, że przysługuje mi tam jakaś jeszcze żywność czy coś. Mam ten dokument.

**Rafał Pękała:** Z Wrocławia do Warszawy.

**Bogusław Kamola:** I dojechałem do Warszawy. Tak. Aha, bo tak, właśnie dawali na granicy takie glejty jakieś podróżne, gdzie kto jechał, to można było jechać pociągami za darmo i tak dojechałem do Warszawy. Takim glejtem.

**Rafał Pękała:** Warszawa wtedy...

**Bogusław Kamola:** Warszawa, tak, Żoliborz zniszczony. Tam gdzieś tata wykombinował jakiś pokoik na Niegolewskiego w jakiejś willi takiej, 20 metrów kwadratowych. Później się to podzieliło na pół, a warunki takie, jakie były, straszliwe, ale przeżyliśmy, prawda? Później było gimnazjum, studia, praca.

**Rafał Pękała:** A ta Warszawa budząca się do życia, jakie pan miał...

**Bogusław Kamola:** Więc radośnie, oczywiście, że radośnie. Z każdym dniem, jak gdyby było lepiej, prawda? Bo już ja przyjechałem w mundurze, więc nie chodziłem w spodniach z łatami. Ale widziałem, że mój brat już tam, tata pracował, to już miał spodnie całe, że już było coś więcej zjeść w domu, że każdego dnia było lepiej, bardziej zorganizowane. Ten kraj zaczynał żyć. Tak, a my razem z nim.